

ROZMAITOŚCI TEATRALNE



dea pokojowego współistnienia znalazła swój wyraz także i w królestwie Melpomeny! Ostatni bilans naszych teatrów, to cztery komedie autorów czterech narodowości: hiszpańskiej, amerykańskiej, angielskiej i polskiej.

Zacznijmy od teatru Ludowego, który wystawił „Dziewczyne z dzbanem” Lope de Vega. Sztuka

rozgrywa się na przełomie 16—17 wieku, nie znaczy to jednak, że trąci myszką. Powodzenie sztuk tego autora wzrastało, im był starszy, a doszło do szczytów po jego śmierci. Lope de Vega stworzył oryginalną komedię hiszpańską, w której — jak to określano — „mieszał komizm z tragizmem, fantazję i fakty, wolę ludzką i przypadek, wielkość i małość”. Jego spuścizna dramaturgiczna to przeszło dwa tysiące utworów! Teatr Ludowy sięgnął po jeden z nich, wybór był trafny. Wprawdzie sam problem (służąca, która okazuje się wysoko urodzoną damą, dzięki czemu tylko otwiera się jej droga do szczęścia) z naszego demokratycznego punktu widzenia trochę dziwnie wygląda — ale nie wymagajmy ex post od Lope de Vega, aby inaczej ustawiał sytuację! Ważne jest, że sztuka — w ładnym poetyckim przekładzie Al. Maliszewskiego — stanowi doskonałą rozrywkę.

Przedstawienie toczy się gładko, jest pełne dowcipu i lekkości. Kilkanaście odsłon, ściągnięte w ramy 2,5 godzinnego spektaklu, nie nużą. — Duża w tym zasługa reżysera (Irena Grywińska), który nadał mu odpowiednie tempo, nie uszczkawszy nic z uroków Lope de Vega.

Teatr Narodowy, idąc konsekwentnie po linii ambitnego nowatorstwa, dał tym razem publiczności nielada kąsek do zgryzienia. Amerykańska komedia Thorntona Wildera (w przekładzie Józefa Brodzkiego) „Niewiele brakowało” — jest sztuką, która szokuje przeciętnego widza. Raczej należałoby opatrzyć ją etykietą: tylko dla smakoszy. Do pomocy teatrowi przydano X Muzę, która w dodatku nie obywa się bez... konferansjerki (zresztą uroczo podanej). Żeby widz miał pełnię wrażeń zapewniono mu także i koncert muzyki mechanicznej. Tak więc na scenie, na ekranie i przy dźwiękach jazzu rozgrywa się „historia ludzkości na wesoło”. Bohaterzy tej historii (pokazowa rodzina Antrobusów) przeżywają po kolei różne kataklizmy, wychodząc z nich jednak z optymizmem i wiarą w sens życia. Widz natomiast wychodzi z przedstawienia z szumem w głowie, nie bardzo wiedząc, czego od niego żądano. No, cóż, do tego rodzaju sztuk trzeba się przyzwyczaić... Aktorzy pod wprawną ręką reżysera (Jerzy Rakowiecki) już to zrobili.

